



Odpływam

Jacek Jerzy Trenkner

Jacek Jerzy Trenkner

ODPŁYWAM

Warszawa 2014

Copyright© by Jacek Jerzy Trenkner

Zdjęcia na okładki i wewnątrz wydania:

Jacek Jerzy Trenkner

Rysunki:

Jolanta Barankiewicz

Projekt okładki i opracowanie graficzne:

Anna Beata Cabaj

ISBN 978-83-938809-0-4

Wydawca:

Jacek Jerzy Trenkner

SPIS TREŚCI:

1. Początki
2. Cadiz - Wyspy Kanaryjskie
3. Wzdłuż Wysp Kanaryjskich
4. Las Palmas - Cape Verde
5. Cape Verde
6. Przez Atlantyk
7. Wenezuela
8. Wenezuela - Trynidad
9. Trynidad - Martynika
10. Martynika - Gujana Francuska
11. Jacht ZUZA
12. Rady i tricki

1.POCZĄTKI

Trzaski z ogniska niosą się po lesie a gęsty biały dym pozwala rozgrzać przemarznięte dłonie. Stajemy jak najbliżej niemrawo rozpalających się mokrych gałęzi a dym przenika nasze ubrania. Nad ogniem nadziane na patyki udka z kurczaka. Wreszcie możemy nacieszyć się wolnością i spojrzeć na strzeliste wieże klasztoru wznoszące się nad Czerwińskiem. Cisza przerywana jest tylko chwilowym zawrotem wiatru, który po chwili zanika by zostawić nas w objęciach słońca i mroźnego powietrza. Kilka metrów dalej leżą zaśniewane rowery, a wiodące przez skutą lodem Wisłę ślady opon przypominają mi o czekającej w domu babci, która prawdopodobnie zdążyła już odkryć, że w garnku z przygotowanym na obiad kurczakiem brakuje dwóch udek. Ale to nic, liczy się ta chwila, ta nasza wyprawa przez nasz mały zamrznięty ocean do niezbadanych wysp po drugiej stronie rzeki i nasze małe ognisko, tylko nasze, które będziemy długo wspominać.

Może tak właśnie zaczęły się moje wyprawy, gdy z Jarkiem Świdzińskim wybywaliśmy w Czerwińsku spuszczać się po tynku na linach, a może wcześniej gdy budowaliśmy na pustych polach szałas i kopaliśmy doły, by złapać niedźwiedzia.

Gdy sięgnę jeszcze dalej w przeszłość dochodzę do wniosku, że taki się już chyba urodziłem. Zawsze musiałem gdzieś podążać, wyznaczać sobie nowe cele, pokonywać to, co wydawało się nie do pokonania, choćby to był kojec na podwórku, który był tak wysoki, że nie dało się przez niego w żaden sposób przejść. W tym przypadku podpowiedzi udzielił mi podwórkowy pies i szybko odkryłem, że psia technika przeciskania się pod tymi ogrodzeniami, których nie da się przeskoczyć, okazała się moją furtką do kolejnej podróży. Szybko też odkryłem, że wszelkie przygody wiążą się z ryzykiem, kosztami i konsekwencjami, niezależnie, czy chodziło o porysowany na ścianach tynk, czy o fakt, że do niedźwiedziej pułapki wpadł traktor. Konsekwencje zawsze były, nierzadko bardzo bolesne.

Niezrażony nabytą wiedzą nie ustałem w realizacji kolejnych pomysłów, lub choćby w podejmowaniu prób i snuciu planów coraz śmielszych eskapad.

Przyszła czas na rowerowe eskapady, w czasie których zwiedziliśmy Mazury, kurs na stopień żeglarza jachtowego, który zrobiłem w 1985 roku i ten moment chyba zdecydował o wyborze żeglarstwa jako mojej pasji.

Kurs odbywał się w Jastarni i do dziś wspominam
manewrowanie starym Eolem w ciasnym rybackim basenie...

10.MARTYNIKA-GUJANA FRANCUSKA



... 17.02.2012- Zbliżam się do Paramaribo. Od rana mam problemy z silnikiem. Co jakiś czas spadają obroty, a wrażenie jest takie, jakby silnik tracił gwałtownie moc. Przeglądam instalację, sprawdzam olej. Nie wiem, co może być przyczyną. Pod wieczór jestem 40 mil od Paramaribo, 20 mil od boi podejściowej. Będę wchodził w nocy. Z map wynika, że tor wejściowy powinien być dobrze oznaczony. 19.00 gaśnie silnik. Po kilku próbach uruchamiania, pompowania paliwa, odpowietrzania, rezygnuję. Akumulator dłużej nie wytrzyma.

Zachodzi słońce. Przede mną światła Paramaribo. Jacht powoli obraca się o 180 stopni i miasto zostaje za moimi

plecami. Kładę się spać. Dziś nic nie wymyślę. Łowiące w pobliżu statki wracają do portu, a nawet gdyby któryś podpłynął to w tych ciemnościach ciężko by było cokolwiek zrobić.

18.02.2012- Piękny poranek. Kręcę silnikiem, ale nawet nie próbuje zaskoczyć. Wokół pojawiają się kolejne kutry rybackie. Wołam je przez radio na kanale 16, wołam ogólnie, ale nikt się nie odzywa. Gdy jeden z kutrów przepływa w takiej odległości, że mogę odróżnić pracujących na nim ludzi, rzucam do wody czerwoną świecę dymną. Swąd dymu, wspaniały dym roznoszący się z wiatrem tuż nad powierzchnią wody, ale zero reakcji ze strony rybaków. Po godzinie widzę już tylko daleko majaczący zarys statku i spaliny na błękitnym niebie. Po południu sytuacja się powtarza. Do flar dołączam róg mgłowy dając w niego co sił i zastanawiając się na jaką odległość słyszać jego dźwięk. Gdy opada dym z ostatniej flary łapię kontakt radiowy z jednym z kutrów. Tłumaczę sytuację. Złamany maszt, uszkodzony silnik, czyli dryf i całkowite oddanie się łasce oceanu. Kapitan kutra obiecuje podpłynąć przed zmierzchem i potwierdza, że widzi mój jacht. Schodzę do kabiny, robię herbatę i zasiadając z nią w kokpicie

palę spokojnie trynidadzkiego papierosa zakupionego w Gujanie Brytyjskiej.

Zachodzi słońce, kutry odpływają, żaden się nie zbliża. Wołam ponownie na radiu ale bez odpowiedzi. Przeszukuję inne kanały i wyłapuję rozmawiających rybaków. Gdy próbuję ich wywołać, milkną. Nie odpowiadają, przestają rozmawiać między sobą. W eterze robi się kompletna cisza. Strzelam czerwoną rakietę, po 20 minutach drugą.

Ciemność, na horyzoncie pozostają pojedyncze światła statków a wokół mnie cisza, cisza samotności wśród ludzi. Przypomina mi się sytuacja z filmu „Plaża” z Leonardem di Caprio. Ten Szwed, którego zaatakował rekin, i któremu wdarła się gangrena. Czuję się jak on. Chorego lepiej zostawić na boku, lepiej go nie widzieć, nie słyszeć, lepiej żeby stał się niewidzialny, a życie niech toczy się dalej. Po co rybakom kłopot, po co przerywać połów, po co tracić paliwo, by pomóc jakiemuś zwariowanemu żeglarzowi. Lepiej zostawić go na oceanie, niech dryfuje. Dziś jest, jutro już go tu nie będzie, niech się inni martwią.

Ale nie tak lekko panowie rybacy. Ja się łatwo nie poddamę. Mimo, że w nocy przepływają blisko mnie dwa duże statki rezygnuję z wzywania pomocy. Duży statek nie weźmie ZUZY na hol, to niewykonalne przy różnicy wielkości i prędkości. Przywiązanie TESA do statku transportowego równałoby się jego zatopieniu. Ograniczam się do prób wywołania statków w celu uzyskania informacji o pogodzie. Również bez skutku.

19.02.2012- Noc przespałem jak suseł. Dziwię się sobie. Powinienem wpaść w panikę a tymczasem po prostu czuję się jakbym płynął na niedzielną wycieczkę. Morze jest wyjątkowo spokojne, mam duży zapas wody i jedzenia. Oddaję się wędkowaniu. Śmieszne to wędkowanie. Zupełnie jakbym wyjmował ryby z lodówki. Rzucam do wody pleśniejące kawałki chleba i obserwuję jak ryby szaleją by dopaść swój kawałek. Pod jachtem co chwila przepływa duży rekin. Chcę go ustrzelić harpunem ale porzucam tę myśl. Jest za duży żeby go zjeść zanim się zepsuje a lodówka bez silnika jest bezużyteczna. Zakładam więc kolejny kawałek chleba na haczyk i wyrzucam za burtę. Kilka sekund i jest ryba. Wyrzucam drugi raz i mam już dwie ryby. Długo przyglądam się złapanym stworzeniom. Nie jest to rodzaj ryby, który sobie

wymarzyłem. Coś na kształt rekina z dużą przyssawką na grzbiecie.



Nie ma co wybrzydzać. Patroszę je i smażę po czym jem kawałek i odczekuję ponad dwie godziny. Była na prawdę dobra, mało ości i mimo upływu czasu wciąż żyję i czuję się wyśmienicie. Konsumuję więc resztę.

Mijam kolejną łódź, tym razem drewnianą z trzema osobami załogi. Wystrzeliwuję białą raketę, drę się ile tylko mam siły. Słyszą mnie, to pewne. Wskakuję do kabiny i chwytam wielki plażowy ręcznik, którym zaczynam wymachiwać we wszystkie strony, by zwrócić ich uwagę. Oni też mi machają, tak, machają mi pozdrawiając.

Prąd znosi mnie coraz dalej, zostawiam ich za rufą. Wciąż macham ręcznikiem, wołam ich na radiu. Może się domyślą, że jak facet macha tak przez godzinę to może nie chodzi o pozdrowienia. Niestety, nie domyślili się.

Kolejna noc, kolejne statki. Cały czas utrzymuję dystans około 20 mil od brzegu. Głębokość 40 metrów, czasami spada do 32 ale to wciąż za dużo żeby rzucić kotwicę i zatrzymać dryf.

Sprawdzam na GPS. Każdej doby cofam się w stronę Trynidadu równo o 60 mil morskich. Dobrze mieć świadomość, że nie znosi mnie donikąd, że coś jest po drodze. Liczę też na prądy pływowe i na to, że złapię płytsze miejsce żeby rzucić kotwicę i stanąć w miejscu. I co wtedy? Nic, to samo, co teraz. Będę wypatrywał rybaków, machał ręcznikiem, strzelał rakietami dopóki będą, darł się i może jeszcze coś wymyślę. Ograniczę zużycie wody, ryb jest pod dostatkiem. Przetrwam choćby i miesiąc....